Nr. 7. We Lwowie Poniedziałek dnia 17. lutego 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Z krainy łez.

„Jasny błękit nieba, drzewa okryte przepyszną zielenią, pszczoły brzęczące po kwiecistych łąkach, śpiew ptasząt. Wszędzie mnóstwo różnobarwnego kwiecia. Step cały wydawał się barwnym kobiercem... Nie widać na nim trawy, całe obszary pokryte żółtem kwieciem, z kształtu podobnem do róży i potem znów ciągną się błękitne przestrzenie, pokryte niezapominajkami"...

Oto obraz letni Syberji, obraz nieprawdopodobny. Czyż w krainie lodów i śniegów istniećby miało lato? Czyż w tej dziedzinie łez, ideałów straconych i serc złamanych kwitną niezapominajki?.

A jednak tak jest, jak twierdzi Jerzy Kennan, publicysta amerykański, w swych wspomieniach z podróży po Syberji. Zaopatrzony w listy polecające przebiegł te olbrzymie przestrzenie wzdłuż i wszerz. Zwidził więzienia i szpitale, kopalnie katorzników i kolonie posieleńców, mając wszędzie wstęp swobodny i niebywałe dotychczas ułatwienia.

Granica Syberji! — Posłuchajmy opowiadania turysty, który temi słowy kreśli swe wrażenia odniesione na tem smutnem miejscu: „W dwa dni po wyjeździe z Jekatarynenburga między wsiami Markową i Tulipanskaja, wśród gęstego lasu zatrzymał nagle nasz woźnica swe konie i rzekł odwracając się ku nam: oto granica! Wysiedliśmy z tarantasu i ujrzeliśmy przy gościńcu czworoboczny słup kamienny, wysoki na piętnaście stóp. Na jednej stronie umieszczono na nim herby europejskiej jeszcze guberni permskiej, na drugiej azjatyckiej, tobolskiej. Do żadnego miejsca na olbrzymiej przestrzeni między Petersburgiem a oceanem spokojnym nie wiąże się tyle bolesnych wspomnień, żadne nie wywiera na podróżniku tak ponurego wrażenia, jak ten słup samotny wśród leśnej gęstwiny uświęcony boleścią milionów poddanych caratu. Setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, magnatów i dzieci gminu żegnało w tem miejscu, ojczyznę, rodzinę, przyjaciół na wieki"...

„Żaden obelisk na całym świecie nie był świadkiem tylu łez wylanych. Od roku 1878 przeszło tą drogą 170.000 skazańców, od początku bieżącego stulecia przeszło pół miljona nieszczęśliwych. Słup ten złowróżbny stoi w samej połowie drogi między ostatnim etapem europejskim a pierwszym, syberyjskim. Zazwyczaj też konwój prowadzący skazanych zatrzymuje się w tem miejscu dla chwilowego wypoczynku. Z chwili tej korzystają ci nieszczęśliwi, by przesłać ostatnie pożegnanie swym najdroższym. Jedni pogrążają się w niemej rozpaczy, inni zalewają się łzami, inni jeszcze całują ziemię lub zimne głazy obeliska.

Do szeregu! — krzyczy komendant konwoju— W pochód! — brzmi dalszy rozkaz — i skazańcy, żegnając się znakiem krzyża, ruszają powolnym krokiem wśród brzęku kajdan w dal niezmierzoną okiem.

Do niedawna jeszcze na cementowanej podstawie granicznego słupa miały się znajdować liczne napisy wyskrobane przez skazańców w chwili przekroczenia granicy. Obecnie zatarto je w przeważnej części, lecz na ich miejsce wystąpiły nowe. Między innemi czytałem te słowa: Bądź zdrowa Marjo! Widocznie dla tego, który kreślił te wyrazy, owa Marja była wszystkiem na świecie". — Kennan — jak to już nadmieniliśmy — zaopatrzony w listy polecające wysoko położonych osobistości, mógł zwidzać szpitale i więzienia bez żadnych trudności. Oto jego opis celi więziennej w etapie tjumeńskim: „Wielka izba o ścianach belkowanych, tak brudnych, iż trudno było poznać, że niegdyś były tynkowane; podłoga czarna od błota, trzy okna okratowane wychodzące na dziedziniec więzienny użyczały jej światła. W środku izby stała ogromna prycza, zajmująca prawie połowę jej szerokości wyniesiona zaledwo o dwie stopy ponad poziom podłogi. Stanowiła ona prócz potężnego cebra, stojącego w kącie jedyne umeblowanie izby".

Sybirska kaźnia nie grzeszy przeto komfortem i sama już wystarczy za wszelkie tortury dla ucywilizowanego człowieka. Wprost z kaźni wprowadza nas Kennan do — salonu. „Służący otwarł nam drzwi i nagle ujrzeliśmy wspaniały salon recepcyjny. Lśniącą jak szkło posadzkę pokrywały w znacznej części wschodnie kobierce. W ogromnych oknach przysłonionych bogatemi portyerami stały kwiaty kwitnące, palmy i egzotyczne krzewy. W marmurowym kominku płonął suty ogień. Obrazy pędzla pierwszorzędnych mistrzów francuskich, angielskich i rosyjskich zdobiły ściany salonu. Obok prześlicznego pianina stała etażerka pełna nut i bogato oprawnych książek. Wytworne sprzęty, stara porcelana, rzeźby z kości słoniowej składały się na wyszukaną całość, pełną komfortu. Staliśmy jeszcze pogrążeni w niemym podziwie, gdy na powitanie nasze przystąpił młody mężczyzna, ciemnowłosy, który przedstawiwszy się jako Innocenty Kuznecow, przemówił do nas poprawnym angielskim językiem. Niebawem zapoznał nas z całą swą rodziną, złożoną z trzech braci i z dwóch sióstr. Kuznecowowie są milionerami w Krasnojarsku, posiadają nader obfite kopalnie złota.

W ich domu wytchnął nasz Amerykanin po trudach swej męczącej podróży. O ile więcej

jest takowa uciążliwą dla pędzonych etapami skazańców! Mimoto zdarzają się od czasu do czasu wypadki, że kobiety towarzyszą dobrowolnie nieszczęśliwym w tej smutnej wędrówce. Żywym tego przykładem jest pani Dicheskula(?), osoba delikatna lat około trzydziestu, która przybyła z transportem skazańców do Semipalatyńska. Poznaliśmy ją — pisze Kennan — pełniącą honory domu u posieleńca Łabanowskiego. Niktby nie przypuścił patrząc na tę dystyngnowaną damę, przybraną w czarną, koronkową suknię, że wątła ta istota zdołała wytrzymać długie trudy podróży, tak wysilającej nawet najzdrowsze organizmy. Niestety wiele kobiet pada ofiarą swego poświęcenia, jak to miało miejsce z młodziuchną żoną doktora Beloi z Iwangorodu, którego zesłano początkowo do Werchojańska w irkuckiej guberni. Biedna kobieta, która w chwili deportacji męża znajdowała się w stanie poważnym, zdecydowała się po odbyciu słabości na podzielenie jego wygnania. W braku środków materjalnych zdołała uzyskać od rządu pozwolenie na przyłączenie się do partji skazańców transportowanej do Tomska. Ztąd miała odbyć dalszą podróż o własnym koszcie. W Tomska ku niezmiernej rozpaczy dowiaduje się, że mąż jej czasowo tylko przebywał w Werchowańsku i że później popędzono go w głąb Syberji. Pięć tysięcy kilometrów drogi przez stepy i lasy dzieliło nieszczęśliwą od celu podróży. Ta wiadomość dobiła ją. Oszalała z rozpaczy i zgasła po kilkomiesięcznej męczarni w szpitalu więziennym w Irkucku nie ujrzawszy tego, dla którego przeniosła tyle cierpień.

Życie posieleńców ma niekiedy i jaśniejsze chwile. Kennan z przyjemnością wspomina wieczory przepędzone w domu Stanjukowicza, ongi towarzysza podróży jednego z wielkich książąt, później wydawcy i redaktora *Djela*. Był to — powiada nasz turysta — bystry i sumienny obserwator stosunków socjalnych w Rosji, dobry nowellista i autor dramatyczny, słowem człowiek wybitnych zdolności i niepospolitej energii. Małżonka towarzysząca mu na wygnaniu, odznaczała się również wyższem wykształceniem i niepospolitemi zaletami umysłu. Stanjukowiczowie, prócz prześlicznej, dorastającej córki, mieli jeszcze kilkoro młodych dzieci. W małem ich mieszkanku przepędziłem najmilsze chwile podczas mego pobytu w Tomsku. Często do samej północy przesłuchiwałem się duetom, śpiewanym przez Annę Stanjukowicz i księcia Krapotkina. Było nam tak dobrze, swobodnie w tym zacisznym kątku wygnańca, gdzie łatwo było się dorozumieć rozgrywającej się idylli dwojga serc kochających... Po trzech latach Stanjukowicz uzyskał amnestję, zaś książe Krapotkin, znany matematyk i astronom, świetny salonowiec, uznał, że klimat w Tomsku mu nie służy i — obwiesił się. W podobny sposób skończyła też żona skazanego na wygnanie redaktora Wołchowskiego, nie mogąc igłą i lekcjami muzyki zarobić na najskromniejsze utrzymanie swych dzieci.

Nie należy sądzić — dodaje Kennan — że deportacja na Syberji rekrutuje się wyłącznie z wyższych warstw społecznych. Obok przestępców politycznych są tu i zwykli zbrodniarze. „Jak ponuro wygląda ich pochód? Widoku tego nigdy nie zapomnę. Pewnego dnia w jesieni siedzieliśmy w brudnej izbie pocztowej, oczekując na konie. Nagle do uszu naszych doszły dziwne, drżące tony. Brzmiały gdyby skarga, pogrzebowy choral, lub śpiew kościelny. Wybiegliśmy przed stację i ujrzeliśmy kilkuset skazańców z pogolonemi głowami, zakutych w łańcuchy. Wlekli się wolnym krokiem, pod strażą bagnetów i śpiewali ponurą melodję, dziwnie przejmującą swym żałobnym tonem. Była to pieśń więźniów, proszących o wsparcie. Brzmi ona jak następuje:

Zlitujcie się nad nami!
Nie zapominajcie o znużonych drogą!
Nie zapominajcie o więźniach!
Dajcie nam chleba, wspomóżcie nas!
Pomóżcie biednym i łaknącym!
Zlitujcie się ojcowie!
Zlitujcie się matki!
Dla miłości Chrystusa zlitujcie się
Nad więźniami!
Za murami i kratami,
Za kluczami i ryglami
Jęczymy nieszczęśliwi!
Rozłączeni od ojca i matki,
Rozłączeni od krewnych i przyjaciół
Jesteśmy nieszczęśliwi więźniowie!
Zlitujcie się nad nami!

Na odgłos tej pieśni wybiegały z swych domostw wieśniaczki i do torb niesionych przez czterech skazańców wkładały chleb, jaja, ser i mięso — dla *nieszczęśliwych...*

Tak zwie lud wiejski skazańców pędzonych etapami. I słusznie. Zaiste Syberja jest dziś krainą łez!...

Huzar na „gwiazdkę".

(Humoreska z węgierską papryką).

(Dokończenie).

IV.

Kroki tragarzy ucichły, Aladar był tedy sam w apartamencie Angielki. Odchylił z lekka i ostrożnie wieko swej kryjówki i rozglądał się w okół. Różowe światło napełniało miłym dla oka blaskiem gustownie urządzony ten przybytek pięknej kobiety, jej urok zda się upiększał najniepozorniejszy sprzęcik hotelowego pokoju. Na toalecie świeciła gromadka flakoników kryształowych i srebrnych puszek — niby armja żołnierzy — kosmetyków, przeznaczonych ku temu, aby zasłaniać J. k. mość przed atakiem wrogich zagonów czasu... Z kolei wzrok młodego zuchwalca spoczął na chwilę na zasuniętych firankach alkierza, prześliznął się po garniturze jedwabiem okrytych mebli i wreszcie powrócił na białe, chropowate boki skrzyni zachowywanej jego kryjówki.

W tej chwili serce zaczęło panu porucznikowi uderzać przyspieszonem tętnem, czuł dziwny niepokój i coś jakby wyrzuty sumienia... Tymczasem zbliżyła się pora nocna, do salonu weszła pokojówka hotelowa i zaczęła krzątać się pracowicie za zasłoną w alkierzu. Wnet potem dały się słyszeć głosy admirała i jego nadobnej kuzynki. Zbliżali się. Aż do drzwi buduaru odprowadził lord William młodą kobietę i pomimo

jej oporu wszedł do wnętrza, przyczem oczywiście wzrok jego paść musiał na ulokowaną pośrodku skrzynię olbrzymich rozmiarów.

— *Ach Wath's this*? Co to jest? zapytał ciekawie lew morski.

— *Oh... nothing*! To nic! zawołała piękna Kitty pospiesznie, stając w obronnej pozycji przed skrzynią. Lecz Admirał z uporem i ciekawością właściwą starszemu wiekowi, chciał koniecznie poznać zawartość tej skrzyni. Wówczas Kitty broniła znowu swej tajemnicy z odwagą lewicy, widząc jednak, że wszystkie jej tłómaczenia się i perswazje nie osiągają, skutku wyznała z zakłopotaniem, iż w tej skrzyni znajduje się śliczny prezent gwiazdkowy dla drogiego wujaszka, rzadkie arcydzieło swego rodzaju, automat naturalnej wielkości. Wzruszony uścisnął lord kuzynkę i czyniąc zadość jej prośbie ustnej, aby nie psuł sobie i jej radosnego wrażenia niespodzianki, odstąpił od dalszego śledztwa. Pocałował kuzynkę w czoło na dobranoc i odszedł poważnym krokiem do swoich apartamentów.

Spiesznie zamknęła Kitty drzwi za wujaszkiem — a wtedy zgrzyt zamku, jak piorun zahuczał w uszach i w serca młodego junaka. Wkrótce atoli zuchwalstwo dwudziestosześcioletniego lekkoducha zapanowało nad jego trwogą i wzruszeniem.

V.

Bo ten nasz Aladar nawet nie liczył jeszcze dwudziestu sześciu wiosen życia. Oczy czarne paliły mu się żarem kipiącej młodości, pięknie wymuskany wąsik rysował się nad świeżemi wdzięcznie wykrojonemi ustami. W dodatku był huzarem tego typu, o jakim śpiewają dziewoje węgierskie istne legendy na długich zimowych wieczornicach.

Otóż zaledwo jednej chwili dziełem to było, że jakby podrzucony rzeczywistym prądem elektrycznym, wyskoczył nagle ze swej kryjówki, upadł do nóg oniemiałej z przerażenia Angielki i pocałunkami. wymowniej zemi od wszelkiej słownej eksplikacji, począł okrywać jej drobne rączki.

Przebaczyła mu. Wszakże był tylko... automatem fonograficznym!

VI.

Nazajutrz rano przydreptał admirał do apartamentu kuzynki, party ciekawością oglądnięcia nadzwyczajnego automatu. Jakże przykre atoli opanowało go zdziwienie, gdy Kitty z pomięszaniem i bladością na twarzyczce opowiedziała mu niemal z płaczem, że ten automat, takie arcydzieło kunsztu mechanicznego, widocznie ulotnił się ze skrzyni, w sposób rzeczywiście na wskróś zagadkowy...

Zagadki tej nie rozwiązały dla lorda i dzienniki miejscowe w dniu następnym, które w rubryce wiadomości kronikarskich, zawierały następującą, równie tajemniczą jak sensancyjną notatkę:

„**Zbiegły automat**. Jak nam donoszą z wiarogodnego źródła, zdarzył się ubiegłej nocy w apartamentach lorda Winchester, mieszkającego od kilku tygodni w hotelu „Albion", niesłychanie fenomenalny wypadek — o jakim niezawodnie nie słyszano jeszcze w ciągu naszego stulecia. Oto lalka automatyczna, zakupiona poprzedniego dnia na podarek gwiazdkowy dla lorda admirała przez jego kuzynkę w tutejszym głównym składzie „Towarzystwa Edison — Phonographic — Toy", wczoraj rano lub nadedniem zniknęła z hotelu gdzieś bez śladu. Wszystkie pozory zdają się wskazywać na ewentualność" że ten automat zaopatrzony nader kosztownym mechanizmem do chodzenia, poprostu umknął od swoich nabywców. Dowiadujemy się, że szlachetny lord Winchester wyznaczył grubą nagrodę dla rzetelnego znalazcy tego arcyniezwykłego automatu".

Czy to ostateczenie poskutkowało i lord Winchester przyszedł w posiadanie zbiega?... o tem milczy niestety brukowa historja stolicy węgierskiej.

Czy pamiętasz?

(OBRAZEK)

Miał pozór szczęśliwego, a przedewszystkiem ważnego człowieka i nie był to pozór kłamliwy, bo istotnie z siebie i z losu swego czuł się zadowolonym zupełnie, a w fizycznem zarówno, jak w hierarchicznem znaczeniu ważył wiele! Gdyby z jednej strony spoczęły na szalach wszystkie zdobiące go tytuły i godności, a z drugiej kwitnąca jego tusza i wzrost okazały, niepodobnaby przewidzieć, które z szal podniosłyby się w górę. Był fizycznie wysoki, otyły, rumiany a hierarchicznie możny, dostojny, wpływowy. Pomimo lat pięćdziesięciu, zachowywał włosy gęste i ciemne, cerę gładką, ruchy swobodne, jakkolwiek razem wspaniałe; zaś, dlatego właśnie, że lat trzydzieści szedł jedną drogą, z jednym celem przed oczami i jedną wolą w nerwach, posiadał to, co zadawalniało panujące zapewne potrzeby jego natury: rangę wysoką, tytuł wysoko oświeconego, wykwintne obiady i przyjemne partyjki w najwykwintniejszym z klubów, szubę przekosztowną, dorożkę śliczną, lokaja, sanie i koniorasaka. „Hej, hej! — myślał sobie czasem — gdzie to ja zaszed! Nie na erdredonach ja rodził się, ani mnie matka w złotej kołysce kołysała! Poczciwa matka! Dobre z niej było kobiecisko: łagodne, kochane takie, aż tęskno robi się wspominając. Ojciec też niczego był sobie człowiek; a jak, całował mnie, kiedym ostatni raz ztamtąd wyjeżdżał, jak całował, aż twarz oślinił i zdaje się, że zapłakał troszkę biedaczysko! Biedni byli, no, nie żebraki przecież. ale i nie bogacze. Phuu! co za życie wiedli oni!... Niech czart weźmie! Wieczne kłopoty, zachody, praca a skutek taki, że plunąć na niego tylko warto. Wszystkiego sobie odmawiaj, nic nie użyj, żadnego znaczenia na świecie nie miej i gnij w nudzie za życia, tak jak po śmierci zgnijesz w grobie i to przedwcześnie, bo przedwcześnie oni pomarli, ze zgryzot, albo też z nudy — czy ja wiem? Ja-by i trzech lat tak nie przeżył, jak Boga kocham! W łeb sobie palnąłbym, albo pierwszego lepszego kpa na duel wyzwał i zabić dał się, jak Boga kocham! Z takiego dołu wyleść i na taką górę wleść — sztuka! Kiedym jej dokazał — tęgą mieć muszę głowę a nerwy jak okrętowe liny, skoro od nieprzyjemności, jakie przecierpiałem, nie popękały. Wszystko znieść trzeba było, aby dojść... Zniosło się! I dobrze! Phi! phi! jak dobrze! Czego mnie brakuje?... Stanowisko, honory, stosunki, do-

chody — mam! Czego ja nie mam i do czego nie doszedłem! Dzielny ze mnie mały!“

Pod względem pracowitości nie przeceniał siebie wcale. I teraz jeszcze w biurze instytucji której był wysoko opłacanym zwierzchnikiem, i w innych, w których zajmował miejsce honorowego członka, lub dobrodzieja i protektora, pracował codzień przez długie godziny gorliwie żwawo, energicznie. Miewał też często w zakresie swoich czynności wyborne i samodzielne pomysły, a punktualność jego, aktualność, ostrożność, śmiałości zresztą nie wyłączająca, znaną była nietylko szeroko, ale nawet bardzo wysoko. W abstrakcje nie wdawał się absolutnie żadne; poprostu nie przychodziły mu one na myśl nigdy, o samem istnieniu ich nie wiedział, albo zapomniał Ale rzeczami takiemi, jak cyfra, fakt, data itp. nie żartował i uznawał je za panów świata i swoich. A jakże! Naturalnie! Bez tego nie mógłby przecież dojść. W zamian, gdy codziennie wspaniały i pogodny, jak zwykle każda prawdziwa wielkość bywa, z marmurowych, w złocone poręcze ozdobnych schodów wielkiego gmachu zstępował, głowy podwładnych — nie lada jakich, — chyliły się przed nim, jak kłosy przed słońcem, spojrzeniami, uśmiechami, przysługami, o spojrzenie, uśmiech, łaskawe słowo żebrząc. Błogo! błogo! potem... hej, hej! Szybko równo, jasno z gracją, kołysząc się w obie strony,— mknie piękny rysak po śniegiem zasłanej, ogromnej, długiej prostej ulicy ogromnego miasta, a na wytwornych saniach, z futrzanych puchów głowę tylko wynurzając, jego wysokoświeconość nieustanne prawie ukłony rozsyła ku innym podobnym saniom i z futrzanych puchów wynurzającym się głowom dostojnym, marsowym lub janusowym, glorjami łysin zarówno jak sławy opromienionym głowom, które wszystkie, jak równe ku równemu, przesyłają im ukłony, uśmiechy, znaki przyjacielskiej poufałości i koleżeńskiego porozumienia. Bo też i koledzy to jego są w pracach, dążeniach, zabawach; teraz zaś, tak jak i on, ogromną, białą od śniegu ulicą, wśród dwóch rzędów ogromnych, białych domów, pod białem niebem, wszyscy oni mkną w stronę jedną, do klubu, w którym oczekują na nich pływające w sadzawkach żywe sterlety i kosze pełne lodu, a w lodzie — szampana. Błogo! błogo! Potem... na nocne, ciemne niebo wypłynie księżyc, jak krąg białego opłatka, przygasły i smutny, a przy jego świetle, po wysokich śniegowych zapasach, trójka za trójką, z brzękiem i dzwonieniem polecą oni za ostatnie kresy ogromnego miasta, daleko, tam, gdzie czarnookie, łubieżne cyganki śpiewają i tańczą, a noc przechodzi w ulewie świateł i pożarze szałów... Albo opera! Niech czart weźmie, jakie tam drogie i modne śpiewaczki gęby rozdziawiają! O dzwięki, które z gąb tych wychodzą, dba on bardzo mało, bo muzykalnego ucha odmówiła mu natura i w ogólności wszystkie takie rzeczy — to głupstwo! Ale takie sumy, jakie otrzymują one za swoje śpiewanie, szacunek i ciekawość budzą, a z innej strony, w ogromnym teatrze ściany pozłacane, oczy aż mrużą się od jasności, w łożach cały ogród pięknych kobiet, z których on zna zbliska tę, tę i tamtą, w krzesłach cały olimp dostojnych mężów, z których on zna tego, tego i tamtego, gorący oddech tłumów, żartobliwe szepty, widzenie wszystkich i pokazywanie się wszystkim, z ręką w antrakcie z gracją o poręcz fotelu wspartą, z lornetką przy oku... Błogo! błogo! I tak dalej, i tak dalej, dzień za dniem, noc za nocą, dumnie, szumnie, wesoło pomyka życie, pycha na wawrzynowem łożu przewraca się z boku na bok aż stęka od rozkoszy; zmysły nurzają się w morzu róż wszystkiemi swemi nozdrzami piją ich słodkie wonne olejki.

Jednak, od lat dwóch może, jego wysokooświeconość stawać się zaczął mniej zadowolonym i wesołym. Coś z nim stało się takiego, czego sam nie rozumiał i co zrazu fizycznemu niedomaganiu przypisał. Zasięgał więc rady lekarzy (samych wielkich i sławnych), jeździł do Spaa i Ostendy, używał hydropatji, gimnastyki i masażu — nic nie pomogło. Bolów żadnych nie czuł; silnym był tak, że jak sam powiadał, wołu pięścią zabić mógłby, a jednak, coś mu było, coś z nim stawało się widocznie, że nawet spostrzegli to weseli i zazwyczaj nie wiele na cierpienia bliźnich tkliwi koledzy i przyjaciele. I jakżeby mogli nie spostrzedz zmian tak widocznych? Głośny, swobodny uśmiech jego daleko rzadziej niż przedtem napełniał klubową salę, przy najlepiej, a co więcej, w najzaszczytniejszy dla niego sposób dobranej partyjce nie rozpromieniał się, nie żartował, raz na propozycję jechania do cyganek, schmurzył czoło, machnął ręką i mruknął niechętnie: „czart niech weźmie! Niechcę! toujours des perdrix!“ Innym razem, talerz z wybornie przyrządzonym sterletem popędliwie odsuwając, skrzywił się: „nadojadło!“ Czasem, oczy jego, zazwyczaj ogniste i bystre, przybierały pozór szklannych i gdy nieruchomo wpatrywał się niemi w pustą przestrzeń, zębami przygryzał końce wąsów, zupełnie tak, jak to czynią nie szczęśliwcy i panowie tego świata, ale jego skłopotani i zgryzieni wyrobnicy. Na czole, niedawno jeszcze tak gładkiem, jakiem prawdziwie dostojne czoło być powinno, zjawiły się zmarszczki poprzeczne, zrazu cienkie jak nici jedwabiu, ale potem coraz głębsze... „Co mi się stało?“ sam siebie zapytywał i zarówno sobie i przyjaciołom opowiadał: „Czy ja wiem? Swiat zmienił się, czy ja zgłupiał? Trzymałbym zakład, że sam nie wiem, co mi jest!“

Na głębszem, dalekiem, ciemnem niebie zimowem świecił księżyc, jak krąg białego opłatka przygasły i smutny, bo blask jego tłumiły olśniewające światła gazowe, szeregami, gromadami, girlandami palące się na ogromnym, od śniegu białym placu ogromnego miasta. Po białym śniegu, w olśniewającym świetle pomykają i w różne strony krzyżują się tysiące punktów czarnych, w obec ogromu placu drobnych, a szybkich, cichych, dzwoniących tylko brzękami uprzęży. To rój sanek, rozwożących tłum ludzi od rozwartych na oścież i w tłumie świateł stojących wrót teatru.

(Ciąg dalszy nastąpi).